ROZMAITOŚCI.

Dnia 13. Kwietnia. № 15. Roku 1859.

Założenie państwa Kentucky.

Według dzieła niemieckiego: „Pierwsi Amerykanie na zachodzie.“

(Dokończenie. Ob. N. 9. 10. 11. Rozmaitości.)

V.

Niewola u Indyan.

Byłoto dnia 22. grudnia Boone i Stewart wybrali się rano jak zwyczajnie na polowanie; nie domyślając się najmniejszego niebezpieczeństwa, zapuścili się śmiało w głąb płaszczyzny, kiedy tuż nagle głośne rozległy sie krzyki a zpośród gęstej zarośli trzciny wypadło w jednym mgnieniu oka ośmiu zaczajonych Indyan

W pierwszej chwili chcieli bronić się zaskoczeni, ale rychło namyślili się inaczej, widząc, że niepodobieństwo było wymknąć się z rąk napastników. Spuścili strzelby ku ziemi i poddali się bez oporu.

Boone jak zwyczajnie w każdej trudnej przygodzie swego zycia przybrał ton zimny i spokojny, a Stewart ufając ślepo w roztropność i odwagę towarzysza, umyślił iść we wszystkiem za jego przykładem.

Indyanie rozzbroili i powiązali swych jeńców, i wlokąc ich z sobą w głąb kraju łączyli się co chwila z nowemi drużynami, rozpröszonemi po kraju za zwierzyną.

Na ramieniu jednego z nich ujrzał Boone dość głęboką ranę, widocznie od noża myśliwskiego. Domyslił się zaraz, że musieli gdzieś przydybać Finleya i jego towarzyszów, i że do krwawej między nimi przyjść musiało walki.

Indyanie nie zwykli na miejscu zabijać swych jeńców, prowadzą ich zawsze do większych koczowisk, i tam dopiero po mnogich mękach i katuszach spożywają na uroczystej uczcie.

Boone i Stewart wiedzieli co ich czeka, silili się jednak udawać spokoj niewzruszony, znosili najokrutniejsze obchodzenie się dzikich i ślepo wypełniali każde ich zachcenie, bo tym sposobem spodziewali się uspić ich czujność i ratować się ucieczką w pierwszej dogodnej chwili.

Czasami w drodze rozwiązywali im ręce Indyanie, i kazali rąbać drzewo i rozniecać ogień, na noc zaś przywiązywali ich do dwóch drzew osobnych. Niektórzy dzicy przemawiali do nich łamanym językiem z różnych pomieszanych słów angielskich, francuskich i indyjskich, pomiędzy sobą zaś używali jakiegoś niezrozumiałego wcale narzecza.

Widząc, że obadwaj jeńcy zachowują się zawsze jaknajspokojniej i bez oporu ulegają każdemu rozkazowi, zwolnieli dzicy rzeczywiście w swej czujności i złagodnieli nawet cokolwiek w swem postępowaniu.

Bylito zresztą jak się zdawało południowi Indyanie, prawdopodobnie Czeroki, bo zabierając z sobą wszystkie skóry z zwierząt ubitych, ciągnęli na południe.

Sześć dni znajdowali się już obadwaj jeńcy w ich towarzystwie a jeszcze nienawinęła się żadna sposobność ucieczki. Siódmego dnia wieczorem przyłączył się do nich nowy hufiec z dwudziestu Indyan. Wszyscy nowo przybyli obejrzeli ciekawie jeńców i nagromadzony zapas skór i rozprawiali coś z wielkiem zajęciem i żywością.

Boone domyślił się, że zbliżają się do głównego korpusu Indyan, i że wszystkie wysłane za skórami drobne oddziały wracają w umówione miejsca. Chcąc ważyć się ucieczki, należało nie tracić już ani chwili, bo w głównem koczowisku niepodobieństwo było pomyśleć nawet o ocaleniu. Po krótkiej rozwadze postanowił Boone uciekać jeszcze tej nocy; rąbiąc drzewa zrobił tylko tajemniczy znak swemu towarzyszowi, i silił się wydawać więcej jeszcze uległym i spokojnym niż zazwyczaj.

Na noc przywiązali ich Indyanie plecami do drzew a sami ułożyli się na spoczynek. Obadwaj nie zmrużyli oka do północy, a przekonawszy się że Indyanie znużeni długim pochodem w twardy zapadli sen, przedsięwzięli przystąpić niezwłocznie do dzieła.

Silne postronki Indyan nie mogły się oprzeć herkulicznej sile Boonego. Za pierwszem wyprężeniem członków pękły obadwa w ramionach. Sprawiony tym sposobem szelest nie zbudził nikogo, a Boone mając już wolne ręce, mógł już wygodnie rozwiązać sobie nogi a potem bez najmniejszego szmeru uwolnić towarzysza.

Wszakże nie dość było stargać pęta, chcąc ratować się ucieczką, potrzeba było koniecznie zaopatrzyć się także w broń. Nie pomni też na grożące wcale niebezpieczeństwo przysunęli się milczkiem do miejsca, gdzie Indyanie złożyli bron, zabrali napowrót swe strzelby, noże myśliwskie i torby z prochem i kulami, a wysunąwszy się niemal na brzuchu o kilkaset kroków za koczowisko, puścili się potem co sił stało wydeptaną pochodem bawołów drogą śród zarośli zielonej trzciny.

Droga ich wiodła w północno-wschodnie okolice, którędy płynęła rzeka Szawane. Kiedy zaświtało na niebie i Indyanie spostrzegli ich ucieczkę, ubiegli już obadwaj kilka mil drogi, a żadnemu ani przez myśl nie przeszło wypocząć na chwilę.

Chodziło im głównie osiągnąć jaknajprędzej rzekę, i dopiero w jej korycie nabrali więcej otuchy i zwolnili w szalonym pędzie. Wiedzieli bowiem obadwaj aż nazbyt dobrze, jak przenikliwie umieją Indyanie wytropić ślad nieprzyjaciela i z jak zawziętym ścigają go potem uporem.

Aby omylić poszlaki swych prześladowców biegli już ciągle korytem rzeki, a nazajutrz póżnym wieczorem dopadli szczęśliwie swej ukrytej w skale jaskini. Wdarli się po omacku do środka i dopiero w tem schronieniu uczuli się zupełnie bezpiecznymi.

Mimo to nie zasnął jeszcze Boone zaraz, ale dopiero nad raniem, kiedy orzeźwiony krótkim snem Stewart mógł czuwać z kolei. Dla większego niebezpieczeństwa nie rozniecali ognia całe dwa dni następne i przez ten czas żywili się tylko surową bukwą i surowem mięsem solonem.

Ale szczęście sprzyjało jakoś szczególnie naszym śmiałym skwaterom. Już podczas ich ucieczki zaczął padać deszcz ulewny, i nie ustawał wcale w trzech dniach następnych. Mała rzeczka wezbrała gwałtownie i rozlała się szeroko po płaszczyznie, zacierając wszelki ślad, jakiby ich jeszcze mógł zdradzić bystrym zmysłom dzikich.

Ubezpieczeni wylewem wody nie wahali się już dłużej rozniecić ognia, ale dopiero po sześciu dniach ośmielili się wyjść z jaskini. Wybrali się najpierw na łowy aby zaopatrzyć się w żywność, a po kilku dniach postanowili odwiedzić budę, gdzie pozostawili swych towaryszy.

Wzniesiony na wzgórze budynek stał próżny i opustoszony, Boone nie omylił się w swych domysłach. Indyanie zabrali z sobą nagromadzone skóry, a nie wiedzieć co zrobili z przydybanemi skwaterami, bo nie pozostało po nich ani śladu, i odtąd już nie obiła się nigdzie najmniejsza wieść o żadnym z nich.

Smutny los tych nieszczęśliwych, acz niejako własną sprowadzony winą, zasmucił wielce naszych dwóch przyjaciol, ze łzami w oczach opuścili to miejsce i wybrali się z powrotem do swej jaskini.

Kilka dni trwali jeszcze nieprzerwanie w swem przykrem usposobieniu, kiedy nagle niespodziwaną zesłało im niebo pociechę. Wybrali się pewnego dnia na polowanie, a zapuściwszy się w głąb płaszczyzny koło solnych bagien, ujrzeli nagle na niedalekiem wzgórzu dwoch ludzi białych, którzy z temsamem zdumieniem przypatrywali się rojom ciągnących do bagien zwierząt, z jakiem nasi skwaterowie w pierwszych czasach swego przybycia podziwiali to szczególniejsze widowisko.

Boone zaczął wołać na nieznajomych i różnemi znakami wzywał ich do siebie. Lecz któż opisze jego radość i zdziwienie, kiedy nagle w jednym z nich poznał swego młod-

szego brata, a w drugim jednego z swych najlepszych przyjaciół z południowej Karoliny, Ryszarda Halloway.

Obadwaj wybrali się na puszczę, zniespokojeni tak długiem oddaleniem Boonego, na korach drzew po drodze znachodzili napisy jego ręki, i za temi znakami zmierzali coraz dalej.

Po pierwszych uściskach i powitaniach wszczęła się żywa rozmowa pomiędzy przyjaciołmi. Boone wyraził zaraz niezmienne postanowienie osiedlić się stanowczo w tej błogosławionej krainie. Na to oznajmił mu brat, że wielu z jego przyjacioł i znajomych gotuje się pójść za jego przykładem i czeka tylko na bliższe wiadomości. Oprócz tego powiedział mu, że nadarza się dobry kupiec na jego plantacye nad Yadkinem. Najwięcej jednak zdziwiło Boonego, gdy sam Ryszard Halloway oświadczył z wszelką stanowczością, że zachwycony powabem i bogactwem kraju, osiedli się także w Kentucky.

Ryszard Halloway był wyższego wykształcenia człowiekiem i miał za sobą Niemkę lepszego wychowania, której niebardzo mogłoby się podobać w oderwanej niejako od świata pustyni. Z temwszystkiem niesłuchał nawet uwag i przedstawień Boonego i dał słowo, że będzie odtąd stale dzielił z nim losy.

Boone i Stewart zaczęli oprowadzać swych niespodziewanych gości po różnych powabniejszych stronach krainy, a potem wybrali się na niezwiedzone jeszcze okolice zachodnie.

Puścili się też w tym zamiarze za biegiem rzeki Salt, która podobnie jak Kentucky-River w licznych wijo się zakrętach. U brzegu tej rzeki, w pewnym ostępie zasłoniętym z trzech stron zaroślami, a przypartym z jednej do stromych skał, wznieśli nasi skwaterowie obszerną budę, aby mieć wygodny schowek na skóry.

W samem pobliżu tej budy miał ich jednak niebawem srogi dotknąć cios. Pewnego dnia wybrali się wszyscy czterej na łowy. Brat Boonego i Halloway obrali sobie stanowisko nieopodal od budy, sam zaś Boone i Stewart pociągnęli o ćwierć mili dalej ku rzece Kentucky.

Stali obadwaj w zasadzce pod drzewem, kiedy nagle dostrzegło bystre oko Boonego, że w pobliskich zaroślach trzciny coś porusza się ostrożnie, i unikając wszelkiego szelestu, posuwa się coraz naprzód.

Domyślił się od razu doświadczony w niebezpieczeństwach skwater, że zagraża im zasadzka Indyan; porozumiawszy się też jednem spojrzeniem z Stewartem dał niezwłocznie ognia w tę stronę.

Głuchy jęk boleści odpowiedział na ich wystrzał. Byłto dowód że nie strzelili na darmo. W tym momencie jednak wyskoczyło z dzikiem krzykiem czterech Indyan z zarośli i naraz padło cztery strzały.

Stewart ugodzony dwoma kulami powalił się z przeraźliwym jękiem na ziemię, Boone uszedł wszelkiego uszkodzenia i co tchu cofnął się za pień drzewa, aby napowrót nabić strzelbę.

Po chwili wychylił się i dał ognia, a jeden Indyan legł znowu na placu, dwie zaś kule z przeciwnej strony przemknęły w tymsamym czasie ponad głowę Boonego, żadnego nie zadając mu uszkodzenia.

Zmuszony do dalszej walki z tak nierównym nieprzyjacielem, skrył się Boone za drzewo, i przeklękając na jedno kolano, nabił na nowo strzelbę i nowym strzałem powalił jednego z napastników. Wszakże pozostało ich jeszcze dwóch na placu a po raz trzeci nie było już czasu nabijać strzelby.

W tej tak ciężkiej chwili zjawiła się pomoc, zupełnie prawie niespodziewana. Hallowaj i brat Boonego posłyszeli wystrzały i szybkiem pędem potrafili jeszcze nadążyć w porę.

Zaskoczeni z tyłu Indyanie nie mogli ratować się ucieczką, jeden z nich padł zaraz od strzału, drugi przywiedziony do ostatecznej rozpaczy rzucił się z tamahakiem na Boonego, ale lubo zranił go z lekka w plecy, padł wnet bez ducha, ugodzony lufą strzelby w głowę.

Teraz dopiero zajrzeli zwycięzcy w głąb trzciny, dokąd pierwsze wymierzyli strzały. Ukryty w trzcinie Indyanin był tylko ranny, dobili go jednak natychmiast nożami, bo śmierć nieszczęśliwego Stewarta do dzikiej pobudzała wszystkich zaciekłości.

Boone nie mógł długo otulić się po stracie swego wiernego towarzysza i przyjaciela, któremu własną ręką usypał grób na miejscu śmierci.

Jakiś czas po tym wypadku nie zapuszczali się w głąb kraju, wnosząc słusznie że gdzieś niedaleko musiał koczować cały szczep indyjski.

Ukryci w swej niedostępnej jaskini rozmawiali zawsze o swem przyszłem osiedleniu w Kentucky, a Boone wybrał już sobie miejsce, gdzie miał swoją założyć plantacyę.

VI.

Powrót do ojczyzny.

Śród ciągłych łowów i przechadzek po nieznanych jeszcze okolicach nadeszła i wiosna. Halloway przyrzekł uroczyście żonie swojej powrócić z wiosną do domu, musiał się więc rozstać z przyjaciołmi, bo Boone sam ani słyszeć chciał o powrocie, a brat jego nie myślał wracać do domu bez niego.

Obadwaj bracia odprowadzili przykładnego małżonka daleki kawał drogi, i pożegnawszy się z nim wreście śród najserdeczniejszych uścisków, powrócili do swej jaskini a ztamtąd wyprawili się zaraz na zwiady do nieznanych sobie jeszcze okolic.

W pierwszych tchnieniach wiosny przybierała cudowna kraina tysiączne nowe nieznane powaby. Już w połowie lutego okrył wirgińską wiśnię śnieżnej białości kwiat, w marcu zajaśniała amerykańska osika w purpurowem przystrojeniu, a najpiękniejsza w tej porze ozdoba lasów amerykańskich, pewien rodzaj wiśni zwanej *Cornus florida* lśnił do słońca swym przecudnym mieniącym się, białawo-fiołkowym kwiatem. W miesiąc poźniej pozakwitały dzikie jasiony, wspaniałe drzewa tulipanowe i wiele innych; były zaś i takie krzewy co dopiero w lipcu okrywały się kwiatem.

Miesiąc marzec rozścielił zielony kobierzec po całej ziemi, a większą część drzew zaopatrzył już w bujne liście.

Od połowy lutego zaczęły z południa nadciągać roje ptaków przelotnych. Takzwany koci ptak odzywał się bezustannie swym nieprzyjemnym, przeraźliwym głosem. W gęstych zaroślach szczebiotały całe gromady kardynałów *(loxia cardinalis)* zwanych tak od przepysznych szkarłatnych piór. Melodyjny ich spiew ma wiele podobieństwa do spiewu naszych słowików, ztąd nazywają je także niektórzy wirgińskiemi słowikami.

Znad brzegów wzlatywały wieczorami w dziwacznych zakrętach całe roje bekasów i słomek, i z krzykiem podobnym nieco do odgłosu bębna w oddaleniu wyszukiwały sobie bezpieczne w krzakach schronienia.

W marcu nadciągały nieprzeliczone ćmy drobnych kolibrów z swemi tak przecudnie ustrojonemi grzbietami. Jak motyle snuły się pomiędzy kwiaty, wysysając długim dzióbkiem ukryty w kielichach sok miodowy.

Jednocześnie przybywał rzadki już dzisiaj ptak błękitny *(Sialia Wilsonia)*, największy ulubieniec skwaterów i farmerów, nadobny żywem różnobarwnem pierzem, ponętny miłym dźwięcznym spiewem, a ciekawy i szczególny co do swych obyczajów.

„Najmilszym staje się — pisze znany naturalista Wilson — kiedy w zaloty posuwa do samicy. W każdem jego poruszeniu przebija się pewien wyraz czułości i przymilenia, tuli się jaknajbliżej do boku oblubienicy, pieści ją dzióbkiem, wydobywa dla niej swe najpiękniejsze trele. Jeśli wciągu tego spostrzeże jaki owad smaczny, rzuca się nań jak błyskawica, pochwytuje go zręcznie w powietrzu i żywego jeszcze zanosi do dzióbka kochanki. Na widok rywala zrywa się zaperzony, i śmiało spieszy na spotkanie z natrętem. Zwyciężony ucieka z żałośnym jękiem, jeśli zaś zwycięży wraca z dumą i tryumfem do boku oblubienicy i tem silniej tuli się jeszcze do jej skrzydeł.“

Nie dziw że śród takich cudów i powabów natury Boone czuł się niewymownie jakoś szczęśliwym, że nie tęsknił nawet za domem i dziećmi. On sam opisał uczucia swe następującemi słowy:

„Mniemam, że mało ludzi doznało kiedyś tak błogich chwil, w jakie my opływaliśmy o kilkaset mil od naszych rodzin, sami jedni śród bezludnej pustyni. Widzisz mówiłem nieraz do brata jak łatwo zaspakaja i uszczęśliwia nas natura. Prawdziwe szczęście łatwiej i pewniej znaleźć w własnem sercu niż w zamęcie świata, niż w biegu spraw ziemskich. Sądzę że człowiekowi potrzeba tylko spokojności umysłu, aby czuł się szczęśliwym w każdem położeniu, w jakiem go postawi zrządzenie losu. Największa sztuka w tem, aby się umieć poddać zawsze woli opatrzności. Człowiek z takiem usposobieniem znajdzie szczeście w najdzikszym ostępie śród skał i wertepów.“

Wszakże mimo wszystkich tych przyjemności w błogosławionej krainie należało nareście pomyśleć o powrocie, zwłaszcza że chodziło

co najrychlej jednać zwolenników dla przyszłych osad w tym kraju.

Po długich naradach postanowili bracia, że tylko jeden z nich młodszy miał teraz wrócić do domu, i po dwóch miesiącach przybyć z końmi po nagromadzony w jaskini i w budzie zapas skór.

(d. n.)

ZBIORY ARCHIWALNE.

R. 1765. i 1783.

Jan Klemens Branicki Hetman Wielki Koronny uwalnia ze służby wojskowej Szymona Borzka Majora od piechoty zaciągu cudzoziemskiego.

Jan Klemens Hrabia na Ruszczy, na Tyczynie, Tykocinie y Branicach Branicki, Kasztelan | Krakowski Hetman Wielki Koronny. |

Wiadomo czynię komu o tym wiedzieć będzie należało, osobliwie jednak JOO. JWW^{m}. WW^{m}. Jchmcm Panom Generałom | Leutenantóm, Generałóm Majorom, Pułkownikom, Obersztleutenantom, Majorom, Kapitanom y Innym wszyst|kim wyzszey y nizszej Szarzy Woysk Je(go) K(rólewskiej) M(oś)ci y Rz(eczy)p(ospo)l(i)tey Officyeróm cudzoziemskiego zaciągu: Iz JMP^{n} Szymon Borzek, zostając w aktualnej słuzbie woyskowey J(ego) K(rólewskiej) M(oś)ci y Rz(eczy)p(ospo)l(i)tey przez lat dziewiętnaście, chwalebnie zawsze w wszelkich sprawuiac się okazyach, y co do powinności Jego zołnierskiey należało pełniąc, dosłuzywszy się per gra|dus szarzy majorowskiey w Regimencie mojm pieszym, gdy dalszego umyślił tentować szczęscia, y o swoią | instat u mnie dymissyą, więc annuendo votis Jego, daję mu ten abszeyt, z zupełną jaką micć powinien | respectu macritorum suorum rekommendacyą. Gdziekolwiek zatym wspomniony JMP. Major Borzek obruci się | lub ultriora obsequia bellica traktować zechce, azeby znalazł zupełną akceptacyą y promocyą, wielce upraszam, | a dla większej wagi i wiary ten abszeyt ręką własną przy zwykłey podpisuię pieczęci. Dat(um) w Białymstoku | d(ie) 22. July 1765. anno.

J. Branicki

K(asztelan) K(rakowski) H(etman) W(ielki) K(oronny).

Pieczęć nieznacznie obłuzna, wyciśnięta na licowym półarkuszku podlepionym. W środku pieczęci pod hrabską koroną tarcza z gryfem otoczona oznakami hetmańskiemi; pod tarczą krzyż. Napis nadbrzeżny: JOANNES * CLEMENS * COMES * DE · RVSZCZA * IN * TYCZYN * TYKOCIN * ET * BRANICE * BRANICKI * Napis w kole wewnętrznem: CASTELLANUS * CRCOVIENSIS * ET * SVPREMVS * EXERCITVVM * REGNI * DVX *

Treść pod Hetmana podpisem i pieczęcią umieszczona:

Abszeyt JWP^{u} Borzkowi Majorowi Regimentu pieszego Buławy W(ielkiej) K(oronnej).

Przypisek z prawej strony:

A(nn)o 1783. die 25. February osobisto stanowszy U(rodzony) | Tomasz Dobrowolski ten Abszeyt W^{u} Szymonowi | Borzkowi Majorowi Regimentu pieszego Buławy | W. K. od JW^{o} Branickiego Hetmana W. K. w r(ok)u 1765 dany, przez Tegoż JW^{o} Branickiego H. W. K. przy | pieczęci woyskowey na opłatku czerwonym wycisnio|ney podpisany dla wniesienia do xiąg ziem(skich) Krzem(ienieckich) | sposobem oblaty podał. |

Przyjęliśmy. Paweł na B.......... S(ędzis) Z(iemski) K(rzemieniecki) mppa |

M. M. na B. Denisko P(isarz) Z(iemski) K(rzemieniecki) mppa. |

Inductum ad acta terr(estria) Cremen(ecensia).

Znak wodny w półarkuszku licowym: IV, zaś w półarkuszku spodnim: trąbka w tarczy pod koroną; a pod tarczą C &. HONIG.

Oryginał jest własnością W. Antoniego Sozańskiego z Torchanowic.

Przepisał we Lwowie 17. marca 1859. *Wolański.*

Sprzeczności w obyczajach chińskich z europejskiemi.

(Dokończenie.)

Inną znaną właściwością Chinczyków czyli raczej Chinek jest mała noga. Jak dowodzi znany podróżnik Milne myliłby się jednak, ktoby mniemał, że zwyczaj ten jest ogólny. Nagie nogie u żon majtków kantońskich wystają w naturalnej wielkości podobnie jak u większej części służących w Kantonie. Zato w Czusan i Ningpo nie ujrzał Milne w r. 1842 i 1843 ani jednej naturalnie uformowanej nogi. Zależy to zresztą jedynie od miejscowości, bo na północy i w głębi prowincyi Quang-tang, Kiangsi, Cze-kiang, można codziennie spotkać kobiety przy pracy o nogach naturalnego kształtu. Do takich należały owe 500.000 kobiet, które w r. 1853 spędzili powstańcy w Nangkingu, aby uformować z nich wojskowe hufce każdy po 13.000, pod wodzą kobiecych oficerów. Tatarzy nie chcieli długo ścieśniać nogi swym córkom, ale nakazał im to Cesarz w r. 1838 i 1840, grożąc że żadna kobieta o wielkich „pospolitych" nogach nie będzie mogła zostać damą pałacową.

Jeśli też obyczaj ten niejest w samej rzeczy ogólnym, nie ogranicza się przecież na samych wyższych i bogatszych stanach, jak niektórzy mniemają. Małe nogi pojawiają się owszem we wszystkich warstwach społeczeństwa, zowią je powszechnie *„złote lilie"* a przy kojarzeniu małżeństw zwracają na nie wielką uwagę.

Początek dziwnego tego zwyczaju gubi się w mgle wieków. Jedni wyprowadzają go od Cesarzowy Tan-key, która panująo około r. 1100 przed Chrystusem chciała w ten sposób zakryć wadę własną w nogach; drudzy mniemają, że pochodzi od Cesarza Yang-Ti, który około r. 600 po Chrystusie nie wiedzieć dlaczego rozkazał swej kochance ścieśniać nogi, inni wreście w nieco bliższy przynoszą ten obyczaj czasy, mówią że Cesarz Tang około r. 916 po Chrystusie miewał upodobanie w małych nogach jak nasze kobiety w smukłej kibici. Przeklina go też zato jeden z pisarzów chińskich zeszłego wieku aby 700 lat jęczał w piekle i w ciągu tego czasu nszył 1.000.000 małych trzewików.

Zwyczajnie zaczynają ścieśniać nogi dziewczętom w 6 lub 7 roku, u bogatych zaś najczęściej od razu jak tylko dzicię zabiera się chodzić o własnych siłach. Obwiązują się wtedy szczególniej cztery palce u nóg, wszakże jak dowodzi lekarz Lockhart w swem dziele *Medical Missionary Report of his Hospital of Chusan in the year 1840-41*, nie ma ta katusza tak srogich pociągać za sobą skutków, jak powszechnie mienią.

Długie paznokcie można widywać zarówno u kobiet jak i u mężczyzn, a często nawet u urzędników celnych, pisarzy i t. p. Na każdy taki paznokieć wkładają zazwyczaj srebrny futeralik ale pazura nie obcinają i nie równają nigdy. Z tem wszystkiem zwyczaj noszenia długich paznokci jest tylko wyjątkowym.

W powszechnym zato używaniu u wszystkich stanów obcej płci jest niezbędny wachlarz. W południowych okolicach noszą go cały rok, w innych prowincyach tylko w lecie. Bez niego nie obejdzie się robotnik przy pracy oficer potrzebuje go na polu bitwy, elegant używa go zamiast pręta lub laski, bakałarz chłoszcze nim żaków. Majętniejsi noszą wachlarze w jedwabnych woreczkach, robotnik zapycha go za pas lub kołnierz, gdy mu nie potrzebny. Kształt wachlarza chińskiego jest

bardzo rozmaity. Znachodzą się wachlarze okrągłe, kabłąkowate lub w formie liści, niemniej też otwarte, nie składane, z jedwabiu, liści palmowych i piór, tudzież zamykane i składane z papieru, często z miękkich piór gęsich lub z pięknie rzeźbionej kości słoniowej. Chroniąc od upałów słonecznych przy 98 stopniach gorąca (według Farentheita), wyświadcza wachlarz liczne inne jeszcze przysługi Chińczykom. Usypiają nim dorosłych i dzieci, ochładzają się gdy spiekota, powiewając nim zwolna i regularnie, aby nie umęczyć ręki. Rozmaite są także zewnętrzne ozdoby wachlarzy. Jedwabne przyozdabiają haftem, papierzane kwiatami, obrazami miast i pewnych szczególnych okolic tudzież różnego rodzaju napisami. Podobnie jak my zapisujemy kartę w pamiętniku przyjaciela, tak Chińczyk kupiwszy wachlarz, każe swemu „starszemu bratu" napisać na nim jeden lub dwa wiersze i położyć pieczęć swą pod spodem.

Przedewszystkiem jeszcze uderza w Chinach nadzwyczajna ilość latarni rozmaitych kształtów i barw. Obok prostej latarni robotnika za 1 penny i zabawki dla dzieci za $^1/_2$ farthinga znachodzą się latarnie o 12 do 16 stóp objętości co kosztują 100 fun. szt. Wnet okrągłe, wnet czterograniaste lub nieregularne mają latarnie chińskie, często także kształt ptaków, ryb i zwierząt czworonożnych. Podstawa bywa z drzewa, trzciny bambusowej, drutu lub plecionki, wierzchnią część zaś okrywa bądź tkanina jedwabna, bądź papier, róg, gaza, klej, a zdobią ją nadto rzeźby, malowidła, hafty i pozłoty. Chińczycy palą tylko olej lub świece, światło gazowe wprowadziło w wielkie zdumienie pewnego Chińczyka, który w roku 1844. zwiedzał Anglię. Niektóre latarnie chińskie dają się zwinąć w kłębek, jeśli ich nie potrzeba. Podczas takzwanej uroczystości latarnianej na wiosnę i w jesieni można widzieć takzwaną „latarnię smoczą" w długości 100 stóp. W pewnych okolicach znachodzą się ruchome latarnie końskie. Sąto fantastyczne automaty z uwieszonemi na lekkich cylindrach figurkami ludzi i zwierząt, któremi kołysze powiew wiatru.

W nocy nie wyjdzie nikt z domu bez latarni. Malarz wypisuje na swej latarni swe nazwisko lub jakie mądre zdanie, oficer wylicza na niej swe tytuły, dzieci używają do swych zabaw latarni w najrozmaitszych kształtach, a kiedy Anglicy w r. 1842. uderzyli na Ningpo, miał każdy z trzech do czterech tysięcy chińskich żołnierzy latarnię przy sobie, co wielce ułatwiło Anglikom wymierzać swe strzały.

Jak wiadomo jadają Chińczycy małemi patyczkami, zwanemi pierwotnie *Czu*. Nazwa ta składa się z charakterów, oznaczających trzcinę bambusową i pomoc, bo patyczki te były pierwotnie z bambusu. Teraz zaś nazywają je *Kuai-tseu* tj. „zwinne chłopcy". Są one po większej części z drzewa, u bogatszych z kości słoniowej albo srebra, z wierzchu mają kształt czworograniasty, u spodu okrągły. Jedząc trzyma Chińczyk podobnego rodzaju widelec prawą ręką w pośrodku. Czarę z ryżem podsuwa pod usta, i popycha nim ryż do gęby. Tylko majętniejsi mają rodzaj łyżek z porcelany a niekiedy ze srebra. Szczury, myszy i jaszczurki jedzą tylko ubodzy jak nieraz i w Europie. W Kalifornii posłużyło to jednak dnia 15. czerwca 1853. za powód prześladowania Chińczyków. Jeden z Chińczyków upewniał wtedy, że w Chinach niejadają podobnych zwierząt. Zupy z gniazd jaskółczych, skrzela wielorybów i inne takie szczególne przesmaczki pojawiają się tylko na stołach bogaczy. Dowodzi tego sama już wysoka cena tych potraw, bo angielski cetnar indyjskich gniazd jaskółczych kosztuje 800 funt. szt., co dałoby niemal dwa razy tyle srebra na wagę.

Marcowy zeszyt Dodatku do Czasu rozpoczyna dalszy, dziesiąty z kolei rozdział Zapisków ornitologicznych Kazimierza hrabi Wodzickiego. Autor nie oderwał się jeszcze od swego ulubionego przedmiotu i jak w trzech rozdziałach poprzednich opisuje dalej jaskółkę oknówkę. — Pod napisem Dwór Jana III. w 1688. i 1689. roku podaje p. Lucyan Siemieński obszerne sprawozdanie z francuskiego dzieła Podróż do Polski w r. 1688. i 1689. Dzieło to odkryte w rękopismie w bibliotece Mazaryńskiej, ukazało się w trzecim tomie wydawanej w Paryżu Biblioteki rosyjskiej i polskiej. Wydawcy pomimo najstaranniejszych poszukiwań nie mogli dociec nazwiska autora podróży, który tylko początkowemi (*F.* de *S.*) podpisał się zgłoskami. Sądząc jednak z wielu drobnych szczegółów i skazówek był to człowiek duchownego stanu, znakomitej rodziny i nie bez osobistych przymiotów. Z tem wszystkiem opis jego podróży nie wielką celuje wartością. „Postrzeżenia pana F. de S. co do kraju i mieszkańców — pisze dosłownie p. Lucyan Siemieński — nie odznaczają się ani bystrością poglądu ani trafnością — widać że

nie wychylał głowy po za atmosferę królewskiego dworu, za to osoby królewskiej rodziny zportretował przedziwnie i podał niejeden rys, tyczący się króla bohatera." — P. Z. Węclewski z Poznania zamieścił w tym zeszycie uczoną rozprawę o trylogii Eschylesa *Prometeja*, a kilka celniejszych ustępów klassycznego utworu przytacza w wiernem tłumaczeniu polskiem.— W oddziale poezyi znajdujemy wiersz M. Chrzanowskiego pod napisem *Sierota*. — Po nim następuje list Zygmunta Krasińskiego o Juliuszu Słowackim, pisany niegdyś do R. Z. Krótki wstęp na początku zaznajamia czytelnika, z jakich powodów i w jakich okolicznościach list ten został napisany. Zawiera on nie tylko trafne zdanie o kilku celniejszych utworach Słowackiego, ale podnosi także w ciekawy sposób różnice między nim a Mickiewiczem. — Historyczne opowiadanie p. Franciszka Morawskiego pod napisem Szwedzi w Nowym Sączu w r. 1655 skończyło się w tym zeszycie. — Przegląd piśmiennictwa p. Lucyana Siemieńskiego poświęca dłuższe wspomnienie pośmiertne Zygmuntowi Krasińskiemu. Nie rozbierając dzieł jego poszczególnie, nasuwa znakomity krytyk tylko niektóre ogólne uwagi nad potęgą i kierunkiem geniuszu zmarłego wieszcza. — Pod napisem: *Przypomnienie polityczne* porównywa p. Manrycy Mann sprawę włoską w r. 1831 po zajęciu Ankony z dzisiejszym stanem wypadków politycznych. — Kronika z Krakowa zaczynając od przechodów wojsk i innych podobnych wojennych symptomatów bieżącej chwili, żartuje z humorem z licznych niepowołanych polityków co bądź przy szklance piwa rozstrzygają losy świata, bądź przewidują i odgadują przyszły tok wypadków, nie czytając żadnych gazet. Na końcu dorzuca autor kilka uwag o teatrach amatorskich. — Korespondent berliński nie wyczerpał jeszcze swego przedmiotu w dwóch listach poprzednich. Opisując dalej tryb życia i formy towarzyskie w Berlinie, nazywa swój list najnowszy „rozdziałem o stosunkach powiązanych z zmysłem dotykania", a opowiada właściwie w bardzo dowcipny sposób jak Berlinczycy podają sobie ręce, jak się całują, ściskają i czem kochankowie okazuję sobie miłość wzajemną. — Korrespondencya paryska celuje zwykłym dowcipem i powab m stylu. Na wstępie nie może się autor ustrzedz wszechwładnego dziś wpływu polityki, lecz prędko przystępuje do innych przedmiotów, podaje bliższe szczegóły o znanym z dzienników czarnym doktorze, a w końcu przytacza całą treść najnowszej opery Feliciana Dawida pod tytułem: *Herculanum*.— Korrespondent berliński poświęcił cały swój list opisowi takzwanych wysp fidżyańskich w Australii. Król tych wysp Takomban zamyśla jak donosi jedna z najnowszych poczt australskich poddać się pod zwierzchnictwo Anglii. Korrespondent rzymski prócz szerokiego opisu karnawałów żadnych innych ważniejszych nie podnosi przedmiotów. — Gazetka literacka zawiera same mniej więcej już znane wiadomości literackie.

— Wydawany w Paryżu przegląd miesięczny: *Revue germanique*, zawiera w listopadowym swym zeszycie ciekawy artykuł naukowy pod napisem: *Grecy są Słowianami*. Autor p. Marek Monnier opiera się głównie na niemieckich dziełach Fallmerayera i dowodzi z wielką erudycyą i głębokiem przekonaniem że pierwotne plemie Hellenów do szczętu wygasło w Europie i wszelkie jego ślady a nawet nazwisko zatarły się zupełnie na ziemi greckiej. Dzisiejsi chrześciańscy mieszkańcy Grecyi mają być słowiańscy Albanowie. Fallmerayer wyprawiał się trzy razy na wschód; od r. 1831. do 1834. zwiedził Egipt, Nubię, Azyę mniejszą i Grecyę, od r. 1840. do 1842. Trebizondę, Konstantynopol i górę Athos, zaś w r. 18.. Turcyę i Jeruzolimę. Będąc professorem przy uniwersytecie mnichowskim zjednał sobie imię na polu literackiem. Wydał Historyą Morei w średnich wiekach we dwóch tomach, tudzież *Fragmente aus dem Orient*, gdzie właśnie dowodzi słowiańskiego pochodzenia dzisiejszych Greków. Peloponez zawojowali Słowianie i osiedli w nim wytępiwszy lub wypędziwszy krajowców przy końcu 6. wieku, za panowania Cesarza Maurycego. Na zapytanie zkąd pochodzi, że mówią dziś po grecku odpowiada p. Fallmerayer: a zkąd pochodzi że Słowianie na wyspie Rugii, w Pomorzu, w Meklenburgu, w Styryi mówią po niemiecku? Zdaniem autora w dawnej Lakonii, Arkadyi, Elidzie, Messenie, liczba słowiańskich nazw miejscowych jest dziesięć razy większą niż liczba nazw greckich. W jednej tylko prowincyi znajdują się na przykład następujące nazwy widocznie słowiańskiego pierwiastku: Gunitza, Goritza, Bozitza, Mahrinitza, Zerwochia, Pesklo, Kukurawa, Zelitzani, Kalitza, Libotania, Trinowo. Są także w Grecyi nazwy: Warsowa, Orsowa, Kamenez, Struz i rzeczka Warwutzena. Nazwę *Morei* wywodzi autor od słowiańskiego *morze*. Słowiańskiego pochodzenia mają być także nazwy osób: Bagas, Glawus, Rekus, Turno, Petrowik, Sclabunos, Sclabunckor. Autor utrzymuje dalej, że 155 lat panowała w Carogrodzie dynastya Cesarzów słowiańskich. Do niej należał Konstantyn Porfirogenit, który 47 lat zasiadał na tronie carogrodzkim (od r. 912. do 959.) i w dziełach swoich pozostawił pamięć o słowiańskiem zawojowaniu Peloponezu. Obwód *Maina* pozostał greckim ale cały kraj przybrał nazwę *Sclabinia*, i zachował ją przeszło czterysta lat. Z tych kilku przytoczonych szczegółów można powziąć wyobrażenie o całej rozprawie p. Monnier jakoteż o badaniach p. Fallmerayera, na których głównie opiera się słowiański wywód dzisiejszych Greków. O ile zdanie to opiera się na rzeczywistej powadze historycznej nie omieszka zapewne zgłębić uczona krytyka.

— Pierwszy zeszyt *Dykcyonarza języka francuskiego*, wydawanego staraniem akademii, składa się z 368 stronnic *in 4to* a sięga do wyrazu *abusivement*, który w dawnem dykcyonarzu stoi na trzynastej karcie. Wyszły świeżo poszyt przedstawia według ścisłego obliczenia tylko setną czterdziestą czwartą część całej pracy, zakrojonej na 56 tomów po 900 stronnic każdy. Jeźli uczone grono nie zmodyfikuje planu, którego się trzyma potąd i jeżeli nad każdym zeszytem równie długo pracować będzie jak nad pierwszym, to cała praca według najprostszej rachuby ukończy się dopiero za 3289 lat i dopiero pokolenie żyjące w r. 5147 po Chrystusie otrzyma ostatni zeszyt dykcyonarza z literą *Z*.

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** — *Z c. k. galicyjskiej drukarni rządowej.*